

TEATR LUDOWY

MIESIĘCZNIK ZWIĄZKU
TEATRÓW LUDOWYCH

ROCZNIK XXII — NR. 10 — PAŹDZIERNIK 1950
WARSZAWA, TAMKA 1. TEL. 325-49. P. K. O. NR. 3464



NASTARE LATA

*Ociec se niewnie zapłakoł
cegoż-em go nie docekoł...*

broniący mego żywota.
Nie jestem żaden męczennik,
ale się do śmierci bronię,
i kogo mogę — zabiję,
i krew dam, a nie dam szpady!"

HISTORYK

To rzekł generał Sowiński,
starzec o drewnianej nodze,
i szpadą się jako fechtmistrz
opędzał przed bagnietami.
Aż go jeden żołnierz stary
uderzył w piersi i przebił
opartego na ołtarzu,
i na tej nodze drewnianej.

Chcąc, aby wiersz ten dobrze był wykonany i zrobił wrażenie, trzeba starać się, aby historyk rozpoczął wypowiedzianie wiersza tonem opowiadającym, objaśniającym, wolno, spokojnie, wyraźnie, tak samo mówił słowa wtrącane w akcję, zakończenie zaś wiersza, tonem serdecznym, normalnym, pełnym żalu, ale i dumy szlachetnej, że tak zginął wielki bohater. Adjutanci, ludzie młodzi, bardzo gorąco i z serdeczną prośbą zwracają się do generała, a Sowiński wypowiada swe słowa bardzo spokojnie, ale z wielką godnością z początku, z zapalem i miłością o tem co się Ojczyzny tyczy, z dumą, co odnosi się do cara i oddania szpady, a pobłażliwością, gdy o swoich adjutantach i młodzieży mówi.

Wogóle trzeba pamiętać o tem, że Sowiński to starzec, ma drewnianą nogę, czyli przypasane od kolana szczudło, jeżeli chodzi o zewnętrzny wygląd, to zaraz w pierwszych wierszach jest powiedziane przez poetę, a wewnątrz — jest to szlachetna o wielkiem sercu i umiłowaniu Ojczyzny postać, która ma wielką prostotę i szczerość uczuć.

Utwór pisany białym wierszem, to jest nierymowanym, który jednak trzeba wypowiedzieć z zachowaniem rytmu, aby nie robił wrażenia zwykłej, codziennej mowy, pamiętając ciągle, na co raz jeszcze zwracam uwagę, aby była zastosowana prostota i szczerość. Oświecenie może być normalne, na scenach, które posiadają światło elektryczne, można dać scenę ściemnioną, oświetlając silnie tylko postać Sowińskiego.

J. Turowiczówna

PRACA W ZESPÓŁACH

SOBÓTKI W SZYCACH

A i cóż to za sobótki, kiedy na nich same ino dziewuchy! To tak, jakbyś ślub brał bez baby.

Nie miały tego kłopotu Szycanki w tym roku, bo na Zielone świątki zjechali do Szyc — Szycaki starzy, żeby się w gromadzie serdecznej pokrzepić. A i do poniektórych Szycanek goście mili przyszli

Krakowska ziemia — to nie na Jana, ale na Zielone świątki w o.

gnie się stroi, na pochwałę i błogosławiny tym stadłom młodym, co oczyszczone i rozplamienione żarem, płomieniem — nowe życie mają budzić i wieść“.

Aż dziw, że z zabawy, prawie nie uplanowanej, nie poskładanej przódzi zrobił się godny, poruszający ludzi szczerze, obrzęd.

Jakby zaś kto zamilowanie miał do patrzenia na piękne rzeczy, toby się nacieszył, naradował rzetelnie. Idzie oto na początek gromada wielka, koło sta ludzi, — cichym, gwiazdnym wieczorem, w pole. Niektórzy niosą wysokie na trzech chłopów tyki — pochodnie.

Idziemy, śpiewamy, ogień nam nad głowami coś ukazuje, rozpała... A precz, naokołuśko, pod Ojców, za Krakowem, — i daleko, daleko w górach, tysiące ogników-światał migoce, gaśnie, błyska... Cud, jak pięknie. Jak cicho. I nasze śpiewanie z daleka się niesie.

A kiedyśmy wrócili z pola, już zajmowała się kupa gałęzi, — już płonęło ognisko. Echa dalekie, głószy jakieś z pola, od ludzi — braci i od Matki oDbrej — Ziemi idące, skupiliśmy w sobie dokoła ognia, który — oczy ciągnął i w zapatrzeniu, w zadumę niewolił. Dziewuchy kołem, kołem wielkim, szerokim, ogień między siebie zagarniają; za nimi chłopaki i chłopcy czarnem, mocnem koliskiem. Hanka drzewek dorzaca, a oczy jej coraz większe się stają od tego zapatrzenia.

Co ona tam widzi? Dziewczęce koło jasne obraca się pomaluśku, a to czarne jeszcze wolniej. Myślenie w oczach, a wszystkie w ogień wpatrzone. Serca biją i gorzeją. Czy od tego żaru z ogniska?

„O Janie, Janie, Janie zielony —
opadła rosa, na wszystkie strony,
a ten Staszek z Raciechowie
szuka se żony..

Wołają go, wołają, aż przed ogień wyjść musiał. Dlaczego on? Kto tak chciał?

A to czuło się jakoś — czuło samo, gdzieś pomiędzy nami.
Zośce się ze Staszkiem droga jedna nie słała, choć serca razem były
Ej — ludzie, ludzie! Oni to w tem byli. Ale prawo serca jedno:

Niedaleko ma szukać:
pójdzie on tam do śmigłowej
w okienko pukać.

Puk — puk w okieneczko:
wyjdźże Zosiu - kochaneczko,
sama jedyna..

I prawda, że wyszła. Niech co chce będzie — i wola serca przeciw ludzkiej...

Zosieńka wyszła, rączkę mu dała:
będę ja Cię, mój Stasičku, będę Cię chciała.
(A przytuliła się do ramienia, jak dzieciątko małe).
Będę Cię chciała, będę lubiła,
będę z Tobą, jak z Szycakiem, pocziwie żyła.

A to było prawdziwe i szczerze.

Potem druga Zośka nasza, a że nie było jej Leona, to go ktoś zastąpił, potem Stefa z Mietkiem, oboje szycaki, w narzeczeństwie swoim poważni i godni.

A potem — wiecie — nasz Swok. Ale że se nie chce jakoś wybrać, tośmy mu śpiewali tak:

A gdzie on se ma szukać?

A w czyje on okieneczko pójdzie zapukać?

Bo i to prawda była, że nie wiadomo, gdzie? Chyba - byście go zapytali?

Ale co potem było! Moiście wy! Jak zaczęli chłopaki dziewczęta (każdy swoją) przez ogień ciągać, a skakać, to końca temu nie było. Aż się nacieszyli, w sercach uspokoiili i ustali.

Posiadali wtedy wszyscy półkolem koło ognia, ktoś tam brodę na pięści wsparł, ktoś na ramieniu drugiego położył, ktoś w dłonie schował głowę zamyśloną...

Tylko ogień po twarzach chodził i oczy ciągnął.

A tam z drugiej strony ogniska dziewczuchy nasze pieśni pokazują w takim opowiadaniu i ruchu, jak bajki... śpiewają, jakby, widać to było: O matce, co południcą dzieciątko straszyla i za karę Pan Bóg dzieciątko to jej zabrał — o tej Kasieńce, co grzechu swego żałowała i aż Matka Boska nad dolą jej płacze... O tej znów Kasi, co ją Jasieńko w dunaju zatopił i potem od żalu serce na lepsze odmienił... i tego kogutką... i te inne wesołe, ku ucieszeniu. A wszystko jak te bajki, jedna za drugą; a przecie prawda.

I znowu życie! Tańczują, tańczują, koliskiem coraz szerszem. I oberek i polka i te smutniejsze.

I kozak, i polka z Przeworska i czeskie tańce...

Życie, kołuje, kołuje — płonie!

Ognisko dogasa...

A już dobrano ci, moja Maryś,
dobranoc tobie, dobranoc, —
a weźcie sobie, Matkę Najświętszą,
na pomoc — hej, na pomoc.

A już dobranoc Ci, mój Jasieńku,
dobranoc tobie, dobranoc, —
a weźcie sobie Pana Jezusa
na pomoc — hej na pomoc...

Bo to juści, tych miłujących się święto było. Ich to dziś dzień, ich prawo. Ci, cośmy ich „ośpiewali“, za ręce się trzymający w ogień jeszcze patrzą — i na siebie gorące oczy przenoszą.

A i ci, co już tam główki dziecięć do snu poukładali, a na sobótki radzi przyszli, ku sobie poglądają z serca, a dłonie się szukają, żeby przecie umocnić, co się tam rozwiązało...

Coś tu się, koło ognia, w kole naszym działo: wyzwalaly się w szczerości, proste uczucia ludzkie i z serc ku sercom szły. Domowe, matczyne tchnienie od żaru ognia idzie jeszcze.

Jeszcze węgielki jarzą się — odchodzić żal, ale trzeba. Śpijcie zdrowi, a rano, do roboty!

Z. Solarzowa